

Andrzej Zieliński

Życie trudne, ale pogodne

To, że miałem szczęście zetknąć się z Kazimierzem Ajdukiewiczem, było następstwem zdarzenia sprzed wielu lat. We wczesnych latach XX wieku moja Babcia, która była żoną tenora Opery Lwowskiej Tadeusza Łowczyńskiego, z okazji jakiegoś uroczystego koncertu stała przy drzwiach wejściowych i witała wchodzących. Miała przydzieloną do pomocy dwanaście lat od niej młodszą, bardzo miłą Marię Twardowską, najmłodszą córkę Rektora Uniwersytetu Lwowskiego. Była to niezwykła dziewczyna o żywym temperamencie, bardzo uzdolniona i ciężko znosząca surowe wychowanie, jakie swoim córkom narzucił Kazimierz Twardowski. Miłość Twardowskiego do muzyki, a może i osobista sympatia do mojego dziadka, której dawał wyraz w swoich dziennikach, sprawiała, że częste wizyty córki u moich dziadków aprobował bez zastrzeżeń. A Maria polubiła luźniejszą atmosferę ich domu, jak później polubiły ją dzieci Ajdukiewiczów, które jeszcze w dorosłym życiu wspominały zabawy u „Cioci z Marka” nazywanej tak od ulicy, przy której było mieszkanie Łowczyńskich.

Rygorystyczny tryb życia młodej Twardowskiej miał szczególny przerwani-
nik na samym początku I Wojny Światowej. Była jak co roku na wakacjach w Poroninie, i kiedy Józek, syn gospodarzy, został powołany do wojska, nie miał kto powozić koniem i wozić w Zakopanem turystów. Na czas wakacji rolę tę przejęła młoda Twardowska. Jeździła furą boso w samodziałowej spódnicy i zapasce, i bez względu na pogodę woziła ceprów, którzy na ogół dobrze wiedzieli, kim jest ta młoda góralka, a i ona zwykle wiedziała, kogo wozi. Brała zapłatę i napiwki, które przekazywała gospodarzom. Kiedyś, w deszczowy, zimny wieczór zawiozła do restauracji na Krupówkach jednego ze znanych pisarzy. Wszedł do restauracji, wyniósł z niej grzane piwo i powiedział: „cała jesteś przemarznięta”. Wracała do tego zdarzenia kilka razy w opowiadaniach. Była to dla niej szczególnie miła historia.

Maria Twardowska kipiła energią, ale miała też wyrobioną w domu rodziców umiejętność koncentracji, która sprawiła, że wszystkie jej świadectwa

szkolne miały bez wyjątku (*sic!*) oceny bardzo dobre lub celujące. Uczęszczała do żeńskiego gimnazjum im. Słowackiego we Lwowie, ale z powodu ewakuacji Uniwersytetu do Wiednia w czasie I Wojny Światowej maturę zdała we Wiedniu. Jej egzamin maturalny z łaciny wyglądał w ten sposób, że z pamięci opisywała po łacinie Forum Romanum, jakby po nim szła od strony Colosseum. Stary nauczyciel łaciny, Austriak, po tym egzaminie powiedział, że jest to najlepiej zdany egzamin od czasów, gdy maturę u niego zdawał jej ojciec.

Kiedy moja Babcia zachorowała na oczy i musiała długie dni przebywać na polecenie lekarzy w zaciemnionym pokoju, Maria przychodziła do niej i siadając za kotarą okienną z książką na parapecie czytała jej całymi godzinami. Dla mojej Babcy było to szczególnie przypieczętowanie przyjaźni.

Wielu uczniów Twardowskiego podkochiwało się w Marii, a dwóch oświadczyło się o jej rękę. Na początku Ajdukiewicz nie bardzo się jej podobał. Był wobec niej nieśmiały i nie zabiegał o nią otwarcie. Natomiast moja Babcia była nim od początku oczarowana. Według niej był bezpośredni, przyjazny, wesoły i wcale nie zarozumiały, jak się niektórym innym wydawało. Kiedyś na początku wojny przywieźli Babcy węgiel. Miała dwie małe córki. Dziadek jeszcze nie wrócił zza granicy. Nie miał jej kto pomóc. Wtedy będący na urlopie z frontu odwiedził ją Ajdukiewicz. Zdjął marynarkę, zakasał rękawy i zniósł cały węgiel do piwnicy.

Wielki, otyły i dominujący Ajdukiewicz, jakiego znali ludzie dziś jeszcze żyjący, do końca życia miał w sobie to ciepło i prostotę, ale w latach powojennych były one dostępne dla mniej licznych niż w czasach jego młodości.

O ojcu Ajdukiewicza moja Babcia i Matka wyrażały się z szacunkiem, ale tak, jakby go nie znały osobiście, co pewnie wiązało się z dystansem, jaki wobec nich zachowywał, ale matka Ajdukiewicza była dla nich osobą serdecznie bliską. Była rodowitą Austriaczką, bardzo pobożną i niezwyklej dobroci. Język polski kaleczyła z takim wdziękiem, że było to źródłem przyjaznych anegdot. Na muszkę do garnituru mówiła „motylek”. A kiedy składała życzenia moim rodzicom po ślubie, zwróciła się do Ojca z napomnieniem: „nie zrobić krzywda nasza Lituśka”. Nastoletni Ajdukiewicz przeczytał książkę Berkeleya i postanowił swą Mamę wprowadzić w problematykę idealizmu subiektywnego. Pani Ajdukiewiczowa zamiatała pokój. Przemądrzały synek pokazał jej piec.

- Widzisz Mamo ten piec?
- Widzę.
- On tu jest?
- Jest.

Ajdukiewicz odwrócił Mamę.

- A teraz widzisz piec?

- Nie widzę.
- No to go nie ma.

Reakcja jego Matki była bardzo energiczna: „Kazik, du bist dumm wie die Nacht und zarozumiała wie die Möglichkeit. Piec jest, czy ja go widzę, czy nie”. Nie wiem czy młody Ajdukiewicz został od razu przekonany przez Matkę, ale w jego filozofii idealizm nigdy się nie pojawił.

Dom rodzinny młodego Ajdukiewicza był wypełniony licznym rodzeństwem, w którym dominowała najstarsza siostra Micka, ale jej autorytet był wystawiany na próbę przez młodszych braci, pełnych pomysłów i skłonnych do żartów. Ułożyli rodzinny kodeks karny, z którego zdołałem się dowiedzieć o jednym zaledwie artykule. Za zagięcie dywanu delikwent był skazywany na „dożywotne krzyczenie obostrzone praniem i wielkim sprzątaniami co tydzień”.

To bez troskie dzieciństwo Ajdukiewicza skończyło się, gdy wstąpił na uniwersytet i został nieoczekiwanie szybko wciągnięty w wir nauki. W wieku 22 lat zrobił doktorat, nim jeszcze zdał kończący studia egzamin nauczycielski z przedmiotów głównych, to znaczy filozofii i matematyki, oraz z fizyki jako przedmiotu dodatkowego. Jego pobyt w Getyndze, udział w I Wojnie Światowej, w Obronie Lwowa i wojnie 1920 roku są znane z wielu źródeł. Uczestniczył w wielu ciężkich bojach, w tym w ofensywie na Podhajce, z której cudem uszedł żywy, jednak z wojny wspominał głównie sytuacje komiczne, jakby zupełnie wyparł z pamięci jej okropności i niebezpieczeństwa.

Mając w domu przez kilka lat, dany mi w depozyt przez Panią Ajdukiewiczową, dziennik Kazimierza Twardowskiego, mogłem prześledzić historię sukcesów i kłopotów tej rodziny w zakresie daleko wykraczającym poza skrótową wersję opublikowaną przez wnuka Twardowskich profesora Andrzeja Tomczaka. Przez powściągliwy i dość suchy ton dziennika przebija prawdziwa bliskość obu filozofów i szczerzy podziw Twardowskiego dla niezwykłych zdolności Ajdukiewicza. Bliskie więzi miał też Twardowski z innymi swoimi uczniami i nie krył idiosynkrazji w stosunku do osób z innych kręgów filozoficznych. Szczególnie uczulony był na poglądy Lutosławskiego. Poza Ajdukiewiczem najbliższe stosunki utrzymywał z Kotarbińskim, którego prawie zawsze odwiedzał, gdy przebywał w Warszawie, i szczerze lubił jego pierwszą żonę. Jest w dziennikach wiele wyrazów wsparcia dla działalności społeczno-politycznej Kotarbińskiego i oburzenia z powodu ataków, na jakie Kotarbiński był narażony. Bardzo też cenił zdolności dydaktyczne Witwickiego i nawet brał go pod uwagę jako swego następcę na katedrę zwolnioną w związku z przejściem na emeryturę. Tu jednak spotkał się ze stanowczym sprzeciwem Ajdukiewicza, który uważał Witwickiego za „filozoficznie naiwnego” i sam nieskutecznie próbował do Lwowa ściągnąć Tarskiego, a następnie rekomendował na to stanowisko Ingardena mimo zasadniczych różnic, jakie go z filozofią Ingardena dzieliły.

Lata trzydzieste były okresem pojawienia się filozofii polskiej jako istotnego podmiotu w światowej wymianie myśli. Polscy filozofowie nawiązali bliskie i przyjacielskie kontakty z filozofami Koła Wiedeńskiego. Będąca w moim posiadaniu korespondencja Carnapa z Ajdukiewiczem, dotycząca artykułów przesłanych do druku w „Erkenntnis”, nie jest zdawkową wymianą listów redaktora z autorem, a prawdziwą polemiką filozoficzną. Dla Twardowskiego i Ajdukiewicza tragiczna śmierć Moritza Schlicka nie była zdarzeniem prasowym, a osobistym wstrząsem. Utratą bliskiego znajomego.

W czasie jednej z wizyt w Warszawie Twardowski, odwiedzając Leśniewskiego, spotykał w jego mieszkaniu Zermelo, który specjalnie wybrał się do Polski, aby Leśniewskiego poznać osobiście. Także bezpośrednio po doktoracie W.V.O. Quine w swej podróży po filozoficznej Europie nie ominął Polski i spotkał się tu z Leśniewskim, Tarskim i Ajdukiewiczem.

Ale lata trzydzieste to były też paskudne czasy. Na ulicach pojawiły się hordy łobuzów z ratanowymi laskami. Listy brata Twardowskiego z Wiednia donosiły o „chamstwie na ulicach”, które dla niego było nie do zniesienia. Twardowski i Ajdukiewicz stanowczo przeciwstawiali się gettu ławkowemu i antysemityzmowi na uniwersytetach. Widział to zapewne, wówczas niezauważalny dla nich obu, student Uniwersytetu Jana Kazimierza Adam Schaff. I może dlatego w latach 50-tych nie posunął się w swej „jedynie słusznej” krytyce dalej, niż musiał.

I przyszła kolejna wojna, której następstwem było, jak to ujął Ajdukiewicz na sesji poświęconej Kazimierzowi Twardowskiemu, to że ludzie z jego środowiska, „gdziekolwiek znajdą się na świecie, nigdzie nie będą u siebie w domu”.

Zaczęło się od odrażających scen na ulicach, jeszcze przed wkroczeniem wojsk, a gdy „wyzwolicielka ludów” uwolniła Lwów od pańskiej Polski, przede wszystkim trzeba się było zameldować. Pani Ajdukiewiczowa zgłosiła się do odpowiedniego urzędu, w którym została przepytana o wykonywane zajęcia. „Jestem na utrzymaniu męża”, odpowiedziała. „Piszy jejo utrzymanka”, zadecydował urzędnik. Gdy się o tym po latach dowiedziała moja Babcia, z której oboje Ajdukiewiczowie zawsze się przyjaźnie podśmiewali, mogła się na nich trochę odegrać. Jednak nie do końca pani Ajdukiewiczowa była na utrzymaniu męża. Dostała pracę jako bibliotekarka w Zakładzie Biochemii profesora Parnasa.

W „radzieckim Lwowie” Ajdukiewicz uczył na Uniwersytecie dość mu obcych przedmiotów, do których przygotowywał się, jak mi to opowiadała jego córka, z dnia na dzień, czytając wieczorem odpowiedni podręcznik. Nie znam wszystkich zajęć prowadzonych przez niego, ale była wśród nich chyba i fonetyka. A w nocy, zawsze przed łózkami jego i żony stały mocne sznurowane buty z ciepłymi skarpetami, żeby jak przyjdą i wywozają, nie zostać bez

butów. Nie przyszli i nie wywieźli, ale odchodząc zostawili więzienia pełne zwłok ludzi, z których wielu było zabitych uderzeniem pałąk w głowę.

Przyszli inni. Ci, jak mówił Ajdukiewicz, przynajmniej nie udawali przyjaciół. Ale ludzi mordowali równie bezwzględnie, tylko według innego klucza. Buty nadal stały przed łózkami, ale uniwersytet został zamknięty i trzeba było szukać sobie zajęcia gdzie indziej. O pracach Ajdukiewicza w tym czasie krążą różne legendy, których niestety już nie ma mi kto zweryfikować. Pamiętam opowiadania o jednym miejscu pracy, jakiejś firmie mięsnej, gdzie był zatrudniony w charakterze księgowego, co wbrew pozorom nie owocowało deputatem żywnościowym. Ale raz Ajdukiewicz miał szczęście. Dostał prawie cały salceson od jakiejś *Frau* z zarządu, która wyjaśniła, że ten salceson ciąży jej na żołądku, ale dla polskiej hołoty może być odpowiedni.

Niedługo nadszedł najcięższy okres w życiu obojga Ajdukiewiczów. Ich syn Bronisław dostał się w Anglii do RAF-u i latał w bombowcach nad Niemcami. Informacja o tym, jak również wiedza o olbrzymiej w tym okresie wojny liczbie zestrzeliwanych bombowców, dotarła do nich, budząc paniczny lęk. Najbardziej radykalny antyirracjonalista leżał w kościele krzyżem i modlił się o przeżycie syna. Syn przeżył, skończył studia chemiczne. Pracował w Kanadzie i w USA w przemyśle farbiarskim, a potem w Europie jako konsultant w amerykańskiej firmie doradczej.

Mój pierwszy kontakt z Ajdukiewiczem przydarzył się, gdy miałem 10 lat, i po raz pierwszy po wojnie Ajdukiewiczowie odwiedzili moich rodziców, a także mieszkającą z nami Babcię. Natychmiast zostałem przez Mamę wysłany bawić się z chłopcami poza domem, aby nie drażnić Ajdukiewicza swoim gadulstwem. Kilka lat później, gdy na studiach przyszło mi mieszkać u Ajdukiewiczów przez kilka miesięcy, już byłem dobrze poinstruowany przez Babcię, jak należy się zachowywać, a przede wszystkim, żeby się nie mądrzyć, „bo kto jak kto, ale ty naprawdę nie masz czym”. Po wielkim onieśmieleniu na początku, później zobaczyłem, że jestem przyjaźnie tolerowany, rozmawiałem coraz odważniej, ale pilnowałem się, aby nigdy nie próbować rozmawiać o filozofii. Nasze rozmowy najczęściej dotyczyły tego, czego się nauczyłem z medycyny, a przede wszystkim z fizjologii człowieka, która była wówczas przedmiotem moich zainteresowań i aspiracji. Dziś, po latach, widzę, że na moim marnym materiale było to ze strony Ajdukiewicza sondowanie sposobów, jak zdobywana jest wiedza na temat funkcjonowania organizmu i jak tę konkretną wiedzę w małych fragmentach ludzie próbują uzasadnić. Będąc na emeryturze Ajdukiewicz prowadził doktorskie egzaminy z filozofii bodaj dla chemików, i one też miały podobny charakter. Nie oczekiwał od doktorantów książkowej wiedzy filozoficznej, ale badał, z jakich przesłanek wychodzą w swych badaniach, jak planują eksperymenty i jak wyglądają ich wnioski. Może głębiej niż inni filozofowie rozumiał, że poznanie świata odbywa się

na poziomie nauk szczegółowych, i wkładał specjalny wysiłek, aby określić, jaką rolę w tym procesie może odegrać filozofia. Zaczynał od metodologii nauk dedukcyjnych, ale spostrzegł, że zapatrzenie się filozofów na matematykę pozostawia olbrzymi, niedostatecznie przez nich zagospodarowany obszar poznania.

Wkrótce po uroczystym jubileuszu 70-lecia Ajdukiewicz miał zawał serca. Po tym zawale nie powrócił już do zdrowia. Powtarzające się bóle wieńcowe i ciągła arytmia komorowa stanowiły dla niego prawdziwą udrękę, w której nikt nie potrafił mu pomóc. Zdawał sobie sprawę z drogi, na jaką wszedł jego organizm, i największą jego troską było to, żeby żona nie została kiedyś bez opieki. Nie została. Przy topniejącej liczbie starych przyjaciół zawsze przy niej była Wikta – „opiekun spolegliwy”. Jako młoda wiejska dziewczyna zaczęła służyć w Poznaniu i pracowała u Ajdukiewiczów do śmierci profesora, a potem mieszkała z panią Marią na wspólnym gospodarstwie dwóch emerytek i opiekowała się nią w bardzo trudnej chorobie.

*Andrzej Zieliński,
Warszawa, 10.10.2013 r.*